

LILU

„NIE ZAPOMNE”

ROZDZIAŁ 1

„Najazd”

Nadchodził wieczór dnia 28 lutego 1944r. Było mroźno, a wszystko wokoło spowiła gruba warstwa śnieżnego puchu, którą stopniowo dopadała odwilż. Ludzie, tak jak zwierzęta, powoli szykowali się do snu, jednak w mojej miejscowości tylko nieliczni szli spać.

Nazywam się Stanisława Hutnik i wraz z rodzicami, czworgiem rodzeństwa oraz piętnastoma innymi rodzinami mieszkałam w małej wsi Korościatyn, w powiecie Buczackim. Od kilku dni ludzie tutaj żyli w ciągłym strachu i lęku. Na zmianę trzymali wartę, ponieważ od jakiegoś czasu dochodziły do nas wiadomości, że pobliskie polskie miejscowości zostały napadnięte przez banderowców.

Zegar wybił godzinę osiemnastą. Już miałam iść spać, kiedy przybiegł tata i kazał nam się ewakuować z domu, a sam szybko pobiegł wypuścić krowę i konia ze stajni. Nie miałam nawet czasu, żeby się ubrać i nim się zorientowałam, stałam w samej piżamie na mrozie. Nasz dom położony był w pobliżu lasu, dlatego tam uciekliśmy, a następnie szukaliśmy kryjówek. Korościatyn dwukrotnie już skutecznie odparł ataki banderowców. Wsi bronił dobrze uzbrojony oddział. Jednak ostatni najazd był dla nas zaskoczeniem.

Z daleka widziałam, jak banderowcy grabili po kolei każdy dom. Brali co popadło i na nic nie zważali. Kiedy już nie mieli co kraść, zaczęli wszystko podpalać, a że budynki we wsi zbudowano z drewna, szybko zajęły się ogniem i prócz popiołu nic po nich nie zostało. Był to straszny widok, jednak najgorsze stało się na koniec.

Przywódca Stepan Bandera powiedział: „Wykończyć Polaków i będziecie mieli samoistną Ukrainę”, tak też banderowcy zrobili. Mordowali każdego, kto był pochodzenia polskiego. Wtedy to właśnie postrzelono moją mamę w kolano. Z rany jątrzyła się krew, wdało się zakażenie, a my nie mieliśmy niczego, by ją zdezynfekować. Zginęło 127 osób, w tym wielu moich znajomych, ale kto przeżył, to ratował co się dało. Mężczyźni cały czas stali na warcie i pilnowali nas. Kobiety, gdy było zimno, chowały się do bunkrów, jednak tam nie spały, bo nie było miejsca, a gdy było ciepło, spały na sianie.

Wkrótce mama- Katarzyna Hutnik (z domu Martyniuk) zmarła z powodu zakażenia rany postrzałowej, a tata – Franciszek Hutnik z powodu zapalenia płuc. Zostałam sierotą. Długo po ich śmierci płakałam. Byłam w rozpacz, ale nie mogłam się załamać, ponieważ najstarszy brat – Antoni (urodzony w kwietniu 1924r.) został powołany do wojska polskiego, a z pozostałego rodzeństwa ja byłam najstarsza. I takim sposobem musiałam się opiekować Karolem (ur. marzec 1933r.), Heleną (ur. luty 1936r.) i Anną (ur. maj 1939r.).

ROZDZIAŁ 2

„Decyzja”

Stoi przede mną. Uzbrojony. Od razu widać, że jest wrogo nastawiony i nie ma dobrych zamiarów. Daje mi kartkę i mówi:

- Albo podpisujesz obywatelstwo ukraińskie, albo wyprowadzasz się do Polski w trybie natychmiastowym.

Odmówiłam. Tak jak reszta sąsiadów wolałam wyjechać, niż mieszkać tu w ciągłym strachu.

Mimo że brat był w wojsku, ciągle utrzymywałam z nim kontakt listowny. Podzieliłam się z nim moim postanowieniem o wyjeździe, jednak on próbował zmienić moją decyzję. Będąc w armii, stacjonował na terenach województwa podkarpackiego. Pisał, że w Polsce tak jak na Ukrainie panuje bieda, że w trakcie podróży możemy pozamarzać, bo nie mieliśmy zbyt dużo ubrań, ale jeżeli się już zdecyduję na wyjazd, to mam przygotować dużo sucharów, by móc je potem spożywać z mlekiem i pilnować, żeby na początku jak najmniej jeść, by starczyło na dłużej.

Posłuchałam rad brata i postarałam się przygotować jak najlepiej. Z pomocą rodzeństwa i sąsiadów posiałam zboże, a latem już zbierałam plony. Przemieliałam mąkę i napiekałam sucharów.

ROZDZIAŁ 3

„Podróż”

Nadszedł wrzesień - dzień wyjazdu. Spakowałam wszystko, co miałam, a było tego niewiele. Czym tylko się dało dojechaliśmy do stacji w Stanisławowie, a tam czekał już na nas pociąg z wagonami bydłocymi wykonanymi z drewna. Chciałam zobaczyć jak długi był pociąg,

ale końca nie było widać. Ludzie zbierali się tutaj z bardzo wielu miejscowości. Na stacji było ich tak dużo. Pchali się nawzajem, bo każdy chciał zająć jakiś wagon. Łatwo było się zgubić wśród tłumu.

Wraz z rodzeństwem z trzema innymi rodzinami zajęliśmy wagon, do którego zabrałam też swoją krowę.

Jechałam w nieznane. Bałam się. Podróż była bardzo długa, że aż straciłam rachubę czasu. W drodze wielu ludzi chorowało na groźne i zakaźne choroby, np. tyfus, szerzyła się wszawica, nie przestrzegano żadnej higieny, piliśmy surowe mleko, byliśmy głodni. Wielu ludzi wtedy umierało. Czy to w chłodzie, w spiekocie, czy w deszczu wagony były odkryte. W środku nie znajdowało się nic poza tym, co mieliśmy. Nie było mowy o jakichkolwiek siedzeniach czy łózkach, a tym bardziej o toaletach. Musieliśmy sobie jakoś radzić. Załatwialiśmy się w dziurach wydrążonych w podłodze. Co chwilę słyszeliśmy płacz dzieci, słowa pocieszenia, że będzie dobrze i modlitwy. Niektórzy, wykończeni długą jazdą i nieprzespanymi nocami, mieli już dość, wysiadali na przystankach i tam się osiedlali, jednak moja rodzina jechała do końca. Stacją docelową był Poznań. Nawet po kilku latach wielu z nas przechodziło depresje, lęki i nocne koszmary.

ROZDZIAŁ 4

„Nowy świat”

Przyjechaliśmy do Poznania 7 maja 1945r. Stamtąd mieliśmy jechać dalej, ale niestety władze nie chciały załatwić nam transportu. Organizatorzy sami do końca nie wiedzieli, gdzie mają ulokować przesiedleńców. Osoby mieszkające już w Polsce ściągaly swoje rodziny i znajomych do siebie, a kto nie miał nikogo, to szukał domu na własną rękę.

Jeszcze tego samego miesiąca trafiłam na tereny Dolnego Śląska do wsi Jadwisin. Przydzielono mi dom, w którym mieszkał jeszcze Niemiec, gdyż był mechanikiem i władze nie chciały, żeby wyjeżdżał. Żyliśmy razem pod jednym dachem przez dłuższy czas, jednak on planował wyjechać. Nie rozpakowywaliśmy się do końca w obawie, że przesiedlili nas czasowo, że jeszcze wrócimy w rodzinne strony.

Nowy dom znajdował się w pobliżu rzeki. Wokół rosły lasy i pełne trawy łąki. Słuchając pięknego śpiewu ptaków, choć na chwilę mogłam zapomnieć o strachu i o tym, co przeżyłam.

Za budynkiem mieściła się stodoła, w której trzymałam krowę, i co najlepsze - ogród. Wielki ogród z przeróżnymi roślinami. Mogłam w nim siedzieć bez końca. Codziennie rozkoszowałam się zapachem, jaki wydzielały kwiaty.

Prawie wszystkie domy jakie tu zastaliśmy były już okradzione, a kto przyjechał jako pierwszy, to zajmował największe i najlepsze gospodarstwa. Jeśli komuś czegoś brakowało, to szedł do jeszcze niezamieszkanego domu, brał co chciał i plądrował. Różnice między terenami zachodnimi a wschodnimi były ogromne. Domy tutaj zbudowano z cegły, podłogi wykładano kafelkami, w oknach powstawiano szyby i woda była doprowadzana do domostw rurami. W środku znajdowały się zdobione meble, zastawy wykonane z porcelany, kominki i unowocześnienia, a nawet wyposażone łazienki. W stajniach, stodołach i garażach znajdowały się nieznane nam dotąd maszyny i sprzęt rolniczy, np. żniwiarki, obracane pługi konne. Ci którzy przyjechali tu jako ostatni, żeby korzystać z młocarni, z koni, musieli iść do kogoś, kto zajął lepsze gospodarstwo i pożyczać sprzęt za odrodek. Można powiedzieć, że im późniejszym transportem przyjeżdżali, tym byli biedniejsi, dorabiali się będąc parobkami. Ludzie tworzyli spółki po cztery, pięć osób, składali się i kupowali wybrane maszyny - każdy ze spółki mógł z nich korzystać. Na terenie Zagrodna funkcjonowały dwa duże PGRy, jak i Państwowy Ośrodek Maszynowy. Gromadzono tam sprzęt poniemiecki, np. ciągniki, żniwiarki, i ci wszyscy, których nie było stać na zakup tego sprzętu, mogli z niego korzystać.

Dzieci w wieku szkolnym chodziły do PGRu zbierać buraki, kopać ziemniaki, na żniwa. Właściciele tych ośrodków nie płacili im pieniędzy do ręki, tylko dyrekcji szkoły. Za zarobione pieniądze uczniowie jeździli na wycieczki.

Z wykształceniem było ciężko. Tym, którzy zdążyli ukończyć edukację, poszczęściło się. Nie brakowało też osób bez wykształcenia, które długo nie mogły znaleźć pracy dla siebie, z braku wiedzy ciężko im było wykonywać niektóre czynności.

Komunikacja w ogóle nie istniała. Do pracy na początku wszyscy jeździli rowerami nawet po kilkanaście kilometrów, albo chodzili piechotą. W późniejszych czasach pojawiały się dopiero samochody ciężarowe, które nas przewoziły. Każdy dorabiał się jak mógł: chodząc do pracy, świadcząc drobne usługi w domu, np. krawiectwo.

Mimo, że na naszych terenach osiedlili się przesiedleńcy z Kresów Wschodnich, to spotykało się także ludzi z różnych stron świata. Słysząc było naleciałości innych języków i gwar. Warto też wspomnieć o różnorodnych obyczajach i tradycjach.

Wkrótce powrócili mężczyźni z wojska, w tym mój brat. Wszyscy zaczęli szukać partnerek na żony. Wtedy poznałam Stanisława Tarnowskiego, który mieszkał wcześniej we wsi Jezierzany w powiecie buczackim, a później już w Zagrodnie. Wspólnie z dwoma braćmi zostali powołani do armii i wyzwalali obóz koncentracyjny na Majdanku.

ROZDZIAŁ 5

„Szczęśliwe dni”

Wreszcie nadszedł upragniony dzień. Dnia 19 października 1946r, wychodzę za mąż. Nigdy nie byłam taka szczęśliwa. Tak jak w życiu każdej kobiety, był to dla mnie bardzo wyjątkowy dzień.



Od prawej Pani Katarzyna z mężem
i szwagier z żoną

Po ślubie zamieszkałam w domu męża w Zagrodnie. Jak wszystkie moje poprzednie domy, także i ten znajdował się w pobliżu rzeki. Lokalizacja była bardzo dobra, bo prawie w samym centrum wioski i obok szkoły.

Nie mogę powiedzieć, co było dla mnie najtrudniejsze, bo wszystko było trudne. Można powiedzieć, że zaczynaliśmy od podstaw. W budynkach nie było okien, więc musieliśmy powstawić. Wraz z mężem powoli remontowaliśmy nasz dom. Ciężko pracowaliśmy na

gospodarstwie, które liczyło 8,76 ha, ponieważ część plonów trzeba było oddać dla państwa. Żeby starczyło nam pieniędzy na wszystko, mąż ubezpieczał bydło, a w późniejszych czasach został pracownikiem weterynarii i badał mięso na obecność włośni, i do tego był inseminatorem. W wiosce wodociągi zamontowano dopiero w latach 60-tych. Do tego czasu wodę ściągnano ze studni. Pranie robiłam w rzece, a kąpałiśmy się w misce.

Niedługo po ślubie spodziewaliśmy się dziecka. Dnia 29 czerwca 1948r. na świat przyszedł mój pierwszy syn Ludwik. Wkrótce, bo już 14 września 1950r. urodziłam Kazimierę, a 11 lutego 1958r. Mariana. Miałam kochającą rodzinę. Zawsze o takiej marzyłam. Wszystkie dzieci wzięły ślub i doczekałam się ośmiorga wnucząt, a w przyszłości nawet prawnucząt.



Pani Katarzyna
z mężem i dziećmi

Wspomnieniami często wracam do młodości, kiedy jeszcze mieszkałam na Kresach. Niekiedy też pokazują w telewizji tamte regiony. Ciepło wspominam chwile spędzone z rodzicami i w gronie znajomych. U nas było świeże powietrze, nie tak jak tu. Liczne lasy, łąki i ziemia dobre do uprawy. Mimo, że tęsknię za tym, to nie mam po co tam wracać. Po moim domu nie ma ani śladu, a wioskę zasiedlają obcy mi ludzie. Tylko groby moich rodziców tam pozostały.



Pani Katarzyna Tarnowska